

# SALON GIER



*Leszek Bigos*



# SALON GIER



PLATINUM  
STORY

Salon gier  
Copyright © Leszek Bigos  
Copyright © Platinum Story

Redakcja: Magdalena Świerczek-Gryboś  
Korekta: Mateusz Bielecki  
Skład: Leszek Bigos  
Okładka: digitalfire.pl

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakiegokolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wszelkie podobieństwa do istniejących dzieł artystycznych i wytworów własności intelektualnej są niezamierzone i przypadkowe.

Wydanie I. Kraków 2023  
ISBN: 978-83-67143-03-5

**Leszek Bigos**  
[www.leszekbigos.com](http://www.leszekbigos.com)  
[fb.com/LeszekBigosWriter](https://fb.com/LeszekBigosWriter)  
[instagram.com/LeszekBigosWrites](https://instagram.com/LeszekBigosWrites)

**Platinum Story**  
[www.platinumstory.com](http://www.platinumstory.com)  
[fb.com/platinumstorycom](https://fb.com/platinumstorycom)  
[instagram.com/platinumstorycom](https://instagram.com/platinumstorycom)

## DEMO GAMEPLAY

Pawlos wyrznięt z hukiem we wrak samochodu, aż resztki szyb się posypały. Spłynął bezwładnie na chodnik, wzdłuż którego ciągnęły się szkielety opuszczonych kamienic. Czuł prawdziwy, obezwładniający ból, więc musiał mieć już bardzo mało energii. Gdyby nie wspomnienie prawdziwego życia, którego desperacko się uczeplił, spłynąłby dalej, do rynsztoka tego zrujnowanego miasta rozpaczy.

Wirtualny świat już zdążył pozbawić go siostry i było jasne, że nie ustanie, aż unicestwi ich wszystkich. Poziom trudności rósł, więc dalszy opór jedynie odwlekał nieuniknione i dokładał im cierpień. Wyjścia stąd nie było, zresztą i tak nie mógł wrócić do domu bez Baški. Może lepiej się poddać i do niej dołączyć? Miał serdecznie dosyć niekończących się przeszkód i ciągłej walki, a mógł zamknąć oczy i po prostu...

Dać się zabić.

Na jego nieszczęście, tkwił akurat w pikselowym ciele nabitego mięśniami, krótko ostrzyżonego blond komandosa-cyborga. Walka z robalami – szerzącą się jak szarańcza kosmiczną czernią – była jego przeznaczeniem. Przynajmniej na razie.

Otrząsnął się. Nie mógł sobie pozwolić na użalenie, odpowiadał przecież za całą ekipę. A robal-wojownik, który zadał mu rany, szykował się do morderczej szarży.

Pawlos migiem poustawiał wszystko w głowie. Miał staminę na tylko jeden atak specjalny. Masywne bioniczne ramię zakończone karabinem maszynowym – niemal w gotowości. Trzeba było dobrze wymierzyć i po takim ciosie potwór musiał paść.

Nagle chłopak zarejestrował ruch po lewej stronie. Skręcił i uniósł głowę.

Tuż przy nim z pogrążonego w mroku zaułka wyłaniało się... coś pomiędzy. Forma pośrednia. Robal-poczwarą.

Bestia była ze dwa razy wyższa niż on. Łeb, w kształcie zakrzywionej pierścieniowej rury, chroniony był spłaszczonym pancerzem w kolorze flegmowej żółci. Środek tej tarczy znaczyły wypustki, które wyglądały niczym nagi kręgosłup. Z żylatego ciała jakby ktoś zdarł skórę, obnażając kości i włókna mięśni, tyle że smolście czarne, chitynowe w dotyku i pokryte połyskliwym śluzem. Dłonie z czterema przerośniętymi palcami oraz stopy jak u ptaka wieńczyły zgrubiałe szpony, które mogłyby zmiażdżyć głowę na pulpę. W tle majaczył potężny, zakończony szpikulcem ogon.

Pawlosa zamurowało. Wiele widział w ostatnim czasie, ale teraz zamarł sparaliżowany. Zwłaszcza kiedy pierścieniowy łeb bestii się wydłużył i spod pancerza wychynęło coś, co miało być twarzą.

Czarna czaszka z pustymi oczodołami. Bestia rozwarła szeroko szczękę i w jej głębi Pawlos zobaczył coś niby język, ale z własnym zestawem zębów. Śluz gęsty

jak kisiel ściekał z nich, gdy „język” wysuwał się powoli, i stało się jasne, że za chwilę wystrzeli z całą mocą i przebije głowę chłopaka. Jakby ktoś mu wstrzyknął jad paraliżujący: stracił władzę w całym pikselowym ciele. Mógł tylko, bezradny, patrzeć w paszczę śmierci.

Wtem wystrzał i świst! Ładunek plazmy zdmuchnął pół łba poczwary przed jego oczami. Wzdrygnął się i odruchowo odczołgał, nim truchło zważyło się na chodnik, a kończyny i ogon zaczęły ryć beton w pośmiertnych skurczach. Potem poszukał wzrokiem źródła dźwięku, lecz to ono znalazło jego.

Powietrze obok Pawłosa zadrzało, jak po mżawce w upalny dzień. I wtedy, pośród wyładowań elektrycznych, niewidzialny kamuflaż zniknął, odsłaniając potężną kreaturę: łowcę z kosmosu.

Jego barki, pół klatki piersiowej, przedramiona i łydki osłaniały rdzawobrazowe elementy pancerza. Maską w tym samym kolorze przykrywała nie tylko twarz, ale także wydłużony skalp, a z odsłoniętych boków i potylicy grube dredy opadały mu na plecy i ramiona. Dopiero po chwili Pawłos zauważył, że do opancerzonego ramienia przymocowana jest armatka plazmowa z jeszcze rozgrzaną łufą, a w rękę łowca trzyma opartą o ziemię naginatą z nabitym na ostrze łbem robala-wojownika.

Myśliwy wyciągnął rękę do leżącego chłopaka i przemówił głosem jego kolegi, Karasia:

– Nie wymiękaj nam teraz, majorze... <kkkk>... Mamy jeszcze sporo robali do ubicia.

## INSERT COIN

Gdyby Pawlos wiedział, jak bardzo się wszystko skaszani, w życiu by nie ciągnął ekipy do tego pustostanu.

Po szkole mieli z reguły kilka godzin przed powrotem rodziców z pracy, zanim ci zawołają ich na obiad, a potem zapędzą do obowiązków domowych i odrabiania lekcji. Pawlos wbiegł do mieszkania i cisnął plecak do pokoju, który dzielił z rok młodszą siostrą. Na nieszczęście, Baśka wróciła przed nim.

– Ej, gdzie idziesz? Paweł! – zawołała, gdy już był w przedpokoju oklejonym kwiatową tapetą i z jasnymi kasetonami na suficie.

– Nie twoja sprawa! – odpowiedział, wyciągając kieszonkową latarkę ojca z dolnej szuflady burej garderoby ze sklejki. Już miał lecieć do wyjścia, gdy zatrzymał się w pół kroku i rzucił szybko okiem na odbicie w lustrze.

Czarny, rozpinany kangur adidasa z bazaru? Jest. Potraktowane wybielaczem wytarte dżinsy? Są. Czarne trampki all-stara? Są. Klasyczny osiedlowy look – kolekcja „Wiosna 1994”. Wśród kumpli nie mogło być lipy.



Przeczesał dłonią falujące kasztanowe włosy. Przedwczoraj wpadła do mamy sąsiadka- fryzjerka i przy okazji wycieniowała mu boki, więc gites. Był chudy, ale gibki i sprawny. Pociągła twarz ze spiczastą brodą, wąski, długi nos, brązowe oczy z szerokimi brwiami i wąskie usta. Ucieleśnienie trzynastoletniej kozackości. Kiedy mrużył oczy tak, że przestawał widzieć piegi i nachodzące na siebie jedyńki, to prawie wierzył, że wygląda jak Dylan z *Beverly Hills 90210*.

– Idę z tobą, nudzę się. – Z samozachwyty wyrwała go Baśka, która wyszła z pokoju.

– Nie moja sprawa – uciał. Zostawił ją w mieszkaniu i czym prędzej zamknął drzwi wejściowe. Klucz na sznurówce powiesił na szyi i zbiegł po schodach.

Aż się zaciągnął, kiedy wyszedł przed blok. Majowe powietrze pachniało wolnością, nawet jeśli na ten moment ograniczały ją z czterech stron trzypiętrowe bloki pomalowane na pstrokato. Paweł pamiętał, że jak był bardzo mały, to wszystkie były szare, więc niby można uznać to za jakąś zmianę na lepsze. Ale niewielką. Jakieś dziwne wzory, figury geometryczne... Śmiali się z chłopakami, że bloki wyglądają, jakby ktoś się na nie zbełtał.

Pod śmietnikiem stało dwóch kolegów. Pozdrowił ich machnięciem ręki, żeby nie było, ale skręcił w lewo i pobiegł przed siebie. Minął jeden „kwadrat” budynków z wielkiej płyty, potem drugi, aż dobiegł do głównej ulicy. Po obu stronach rosły pasy zieleni i szpalery drzew. Trawa nęciła soczystym odcieniem,

podobnie jak świeże liście na przyciętych jesionach i nasadzonych między nimi kępiastych krzewach. Tylko na wiosnę oczy cieszyła tak żywa zieleń, póki spaliny i kurz nie zgasiły jej i nie zmatowiły.

Poczekał aż golf dwójka i duży fiat przeturłają się przed nim leniwie. Nie chciał nadrabiać drogi na pasy. Dopiero kiedy z pierwszej zmiany wyjdą ludzie z fabryki gumy i montowni autobusów, dwóch głównych żywicieli miasta, ulice się zapełnią. Tymczasem Paweł przebiegł żwawo na skróty, łypnąwszy jedynie, czy policja się gdzieś nie czai.

Osiedle „Zorza” i znieawidzona ekipa „zorzaków”. Właśnie próbowali grać w piłkę na trawie, która sięgała już sporo powyżej kostek. Rosła jak szalona. Na osiedlu Pawłosa też jeszcze administracja nie kosiła. W sumie fajnie, lepiej tak, niż jak w lecie wszystko wyschnie na wiór i będzie trzeba biegać po spękanej ziemi.

Tymczasem Pawłos przemykał chyłkiem, żeby nie wpaść „zorzakom” w oko. Zwłaszcza Lipie, Sikorowi i Pajdzie, których dostrzegł na boisku wśród grających. Regularnie z chłopakami urządzali z nimi bitwy na kamienie, solowy też nie należały do rzadkości. Miesiąc temu dorwali Pawłosa pod sklepem i chcieli go profilaktycznie przekopać, ale tak się złożyło, że obok drzwi stały plastikowe skrzynki po owocach, więc Pawłos capnął jedną z nich. Zaczął machać na oślep i tak machnął, że Pajdzie poszedł łuk brwiowy. Typ się zalał krwią, trzeba go było zabrać na pogotowie na szycie. „Zorzaki” obwieściły, że Pawłos złamał zasady,

broniąc się sprzętem, i dojadą go przy najbliższej okazji. Z tym, że obskoczyli go we trzech, nie mieli problemu. Ot, taki wybiórczy honor.

Że też droga do celu musiała biec akurat tędy.

Dalej zwirowa uliczka, wzdłuż której stał postawiony „na dziko” ciąg garaży z blachy falistej, długi jak okiem sięgnąć. Nie dla wszystkich mieszkańców „Zorzy” starczyło murowanych garaży wewnątrz osiedla, więc ludzie dawali sobie radę, jak mogli. Budowali je tak, że ściany przylegały do siebie, ale spory kawałek dalej chłopaki wyczyli przejście między dwoma z nich.

A na tyłach garaży rozpościerał się raj. Rozległe pole nieużytków porośnięte chaszczami, pełne śmieci, starych mebli i odpadów budowlanych porzuconych pod osłoną nocy. Chłopakom aż się oczy zaświeciły, kiedy pierwszy raz to zobaczyli. Niemal na samym środku tego pola odkryli fundamenty rozebranej chałupy skryte wśród pokrzyw i kolczastych krzewów czernic. Dwa dojścia, w razie jakby trzeba było pryskać. Niewidoczni z zewnątrz, za to widzący wszystko.

Idealne miejsce na budowę bazy.

Ściągnęli z okolicy ułamane drzwi łazienkowe, kilka płyt wiórowych, plecy z meblościanki, żółknięty materac, do tego trochę cegieł i prętów żebrowanych do stabilizacji konstrukcji i oto była. Kwatera główna. Centrum dowodzenia. Tajna forteca, w której knuto, jak przejąć władzę nad światem.

Karaś i Stona już na niego czekali.

– Wreszcie nas hrabia zaszczycił. Widzę, odwalony jak szczur na otwarciu kanału. – przywitał się Karaś.

Najniższy z trójki, ogolony na zapałę. Też miał trzynaście lat. Z twarzy był jeszcze chudszy niż Pawłos, aż mu się policzki zapadały, a wokół zielonych oczu widniała cały czas ciemna obwódka. Gumiate wargule, którym zawdzięczał ksywę, wyglądały jak naklejone, a obrazu dopełniała szpara między jedykami. Z racji tego, że był z metra cięty i nie miał starszych braci, którzy by go bronili, chłopaki z innych ekip zaczepiali właśnie jego, ale często na własną zgubę. Chcąc uniknąć ciągłych ataków, Karaś w młodym wieku zapisał się na kickboxing i dość powiedzieć, że był pojętym uczniem. Próbował też siłowni, ale za nic nie mógł nabrać masy. Żeby jakoś nadgonić niedostatki, zaczął słuchać rapu i nosił o wiele za duże ciuchy, z dość opłakany efektem. Nadal był jednak żyłasty i rzutki, kwintesencja określenia „mały, ale wariat”.

– Ty, Karaś, on ma żel we włosach, czy tak mu się przetłuściły? – prowokował Stona.

Średniego wzrostu jak na trzynastolatka, miśkowaty, z oczami jak u leniwcza i bruzdami po ospie na twarzy. O ile zęby Pawłosa były długie i nachodziły na siebie, jakby im było ciasno, tak u Stony każdy ząb wydawał się być samotną wyspą. Chłopak słuchał metalu jak ojciec, ubierał się adekwatnie i podobnie jak stary – nosił długie pióra, co było o tyle dziwne, że głos miał spokojny i delikatny,

niczym ksiądz. Ksywa wzięła się stąd, że raz wyhaczył gdzieś w szmateksie płaszcz w pionowe, biało-czarne pasy. Myślał chyba, że będzie mrocznie i go wyszczupli, a nie dość, że z tym bebzonom wyglądał jak stonka, to potem się okazało, że to damski płaszcz był. Osiedle ryło z niego przez pół roku. W końcu im przeszło, ale ksywa została.

– Lepiej popatrz na własne kudły – odparował Pawlos. – Są tak tłuste, że chyba zacznę na ciebie mówić „Tłustona”.

– A żeś przysucharzył – zachnął się Stona, najwyraźniej nie pod wrażeniem.

Tradycyjne przywitanie: najpierw przybita „beczka”, potem – kto szybciej – ruch strzelania rewolwerem z biodra, z odciąganiem „kurka” lewą ręką (Karaś był mańkutem, więc robił na odwrót), a na koniec teatralne złapanie się za serce. Już będąc w pierwszej klasie, chłopaki obejrzeni w telewizji *Dobry, zły i brzydki* z Clintem Eastwoodem, dzięki czemu właściwie poznali się na osiedlu: chcieli bawić się w kowbojów. Potem przyszły zajawki na *Wojownicze żółwie ninja*, *Motomyszy z Marsa* i filmy karate z Bruceem Lee i Van Dammem, lecz sentyment do Dzikiego Zachodu przetrwał.

– Sorry, chłopaki, facetka nas trochę przetrzymała – wytłumaczył się Pawlos.

– Dobra, dobra. Lepiej mów, co to za pomysł, że się tak gorączkowałeś przez telefon – wtrącił Karaś. Seplenił lekko przez tę przerwę w zębach.

– A wzięliście latarki, jak mówiłem?

Stona wyciągnął płaską, stojącą, a Karaś wyjął z plecaka kobyłę długą jak przedramię. Pawlos przewrócił oczami.

– Przynajmniej będzie czym w łeb przywalić w razie czego.

– No co, tylko taką miałem. Za to mocna i długo baterie trzymają.

– Dobra tam – Stona machnął ręką – mów lepiej, po co nam ten sprzęt w środku dnia.

Paweł błysnął szelmowskim uśmiechem i sięgnął do kieszeni. Poczekał chwilę dla podniesienia dramaturgii, po czym zaprezentował im... czerwony, plastikowy żeton.

– Jak dobrze pójdzie, to będzie nasz klucz do nieśmiertelności, panowie.

Przez chwilę panowała cisza, która oznaczała tylko dwie rzeczy. Albo to kupili, albo właśnie wymyślali jakiś sarkastyczny komentarz. W końcu odezwał się Stona.

– *Indiana Pawlos i żeton nieśmiertelności.*

Ryknęli śmiechem. Karaś podłapał motyw.

– Co mówi Pawlos w rzece? Żetonie.

Rzeli na całego. Paweł gotował się w środku, ale wiedział, że gdyby okazał irytację, to już nie daliby mu żyć i byłoby po zabawie. Pozwolił im więc się wyprztykać z ciętych ripost, co, jak się okazało, nastąpiło szybko, bo nic nowego już nie wymyślili. Chrząknął, a gdy odzyskał ich uwagę, podjął temat.

– Kojarzycie Wichurę? Taki wyurany kozaczek z Cegielnianej? No. To wczoraj po południu widziałem go u nas na osiedlu i dosłownie nie poznałem. – Głos

Pawłosa był trochę gegliwy przez krzywą przegrodę nosową. Mimo to starał się budować napięcie. – Patrzę, a on siedzi na ławce jakiś taki niespokojny, co chwilę się rozgląda, spocony, jakby dopiero co z wufu wyszedł. A jego oczy...

– Co, zakochałeś się? – Karaś brechnął.

– Nie, debilu. Jego oczy... Jakby były ze szkła, kumacie? Puste.

Koledzy popatrzyli na siebie znacząco. Mogli znów zacząć kręcić bekę, ale stwierdzili, że jeszcze się powstrzymają. Zbiorą więcej „materiału dowodowego”, żeby na dłużej starczyło. Kto wie, może będzie za co drzeć łacha nawet przez kilka tygodni?

– Jak myślisz, o co chodziło z tymi oczami? – dociekał Stona.

Szturchnął Karasia, patrząc, jak Pawłos się zastanawia. Karaś ugryzł się w język, by nie buchnąć śmiechem.

– Nie wiem... Widziałem podobny wzrok na filmie kilka razy. Ludzie mają takie oczy, jak zobaczą coś naprawdę przerażającego, po czym nigdy już nie są tacy sami. Albo jak diabeł ich opęta. Albo duch.

– A ty myślisz, że to diabeł czy duch? – prowokował Karaś. – Powiedz nam więcej.

Dziabnął Stonę pod łokciem. O tak... To będzie hit. Pawłos miał swoje odpały, zwłaszcza z filmami, ale zanosilo się, że ten przebiję wszystkie. Szkoda, że nie mieli kamery VHS, by go nagrać, bo kto im uwierzy na słowo?

– Kiedy przechodziłem obok Wichury, ten nagle wbił we mnie ten swój pusty wzrok i złapał mnie za nadgarstek. Próbowałem się wyrwać, ale on był za silny. W ogóle nie reagował na to, co do niego mówiłem. Drugą ręką złapał mnie za wszarz i przyciągnął do siebie. Już myślałem, że spuści mi łomot nie wiadomo za co, ale on zaczął szeptać mi do ucha jakieś instrukcje. Gdzie dokładnie mam iść, co robić. Jak się przygotować.

Chłopakom już nie było do śmiechu.

– Na koniec wcisnął mi ten żeton do ręki i powiedział „nieśmiertelność za życie”. A potem zwiął, ale to tak, jakby go diabeł gonił.

Tym razem cisza nie zwiastowała żadnego sarkazmu. Po dłuższej chwili przerwał ją Stona.

– I co, chcesz zrobić, co ci polecił?

– A masz coś lepszego do roboty? Jeżeli to był tylko bełkot, to nie mamy nic do stracenia, najwyżej pokręcimy się po mieście. Ale jeśli jest w tym choć trochę prawdy, to powiem wam tak... Będziemy częścią najbardziej odjechanej tajemnicy, o jakiej słyszałem.

Usłyszeli chrzęst w zaroślach. Wyskoczyli z bazy i zaczęli się rozglądać. Karaś, jak zwykle, był pierwszy do bitki.

– Koniec gry, skurkowańcu, widziałem gdzie się krzaki poruszyły! – zablefował. – Wychodź, bo zaczniemy walić w ciebie kamieniami!



Znowu zachrzęściło, tym razem zobaczyli gdzie. Po chwili, walcząc z kolcami krzaka wbitymi w koszulę, na ścieżkę... wyszła Baśka. Pawłos złapał się za głowę.

– Co ty tu robisz?! Miałaś zostać w domu!

– Mówiłam, że się nudzę i idę z tobą!

Stona nie miał zamiaru tego Pawłowski odpuszczając.

– To tak pilnujesz, czy cię nikt nie śledzi? Może zaraz jeszcze „zorzaki” wyskoczą z tych krzaczorów?

Tylko Karaś jakoś umilkł. W ogóle zamknął się w sobie i tylko łypał na Baškę nieśmiało.

Paweł zdusił językiem wiązanek przekleństw. Nie miał dla Stony żadnej odpowiedzi – wiedział, że dał ciała. Wiedział też, jak uparta potrafi być Baśka, ale musiał to jakoś załatwić.

– Gratulacje, siostra, podeszłaś nas. Punkt dla ciebie. Ale już wystarczy, okej? Wróć do domu, to są nasze sprawy. Tylko byś się przy nas nudziła. Na pewno twoje koleżanki już wróciły ze szkoły, z nimi będzie ci dużo fajniej.

Baśka, choć rok młodsza od Pawła, już go zaczynała przerastać. Wyciągało ją mocno do góry, lecz masa ciała nie nadążała, przez co dziewczyna nabawiła się kompleksów z powodu tyczkowatych kończyn oraz przerośniętych dłoni i stóp. Biodra i klatka piersiowa nadal czekały na swoją kolej. Gdyby nie wciąż krągła, dziewczęca buzia, z perkatym noskiem, głębokimi czarnymi oczami i pełnymi

ustami, oraz czarne włosy spięte w długi kuc, Baśka wyglądałaby jak chłopak. Nosiła się zresztą po chłopięcemu: miała na sobie poszarpane na kolanach, jasne, luźne, sięgające kostek dżinsy z wysokim stanem spięte grubym, czarnym pasem z szeroką klamrą. Wpuściła w nie szarą, bawełnianą bluzkę, a na wierzch zarzuciła o kilka rozmiarów za dużą flanelową koszulę w grubą, biało-niebieską kratę. Stopy okuła głanami bez cholewek.

– Słyszałam wszystko, co mówiliście. Też chcę wiedzieć, jaka jest tajemnica tego żetonu.

– Nie ma mowy, nie będziemy cię niańczyć – frustrował się Paweł. – Nie dość, że wtargnęłaś na nasze terytorium, to jeszcze chcesz stawiać warunki? Chyba cię suty dra!

– Jak wolisz. Na pewno rodzice będą ciekawi jakie to masz tajemnice. Ojciec tak ci skroi tyłek, że się będziesz modlił o tę „nieśmiertelność”.

Uszu Pawłosa doszło tłumione parsknięcie: najwyraźniej chłopaki docenili jej poczucie humoru. Spojrzał na nich pytająco – ci wzruszyli ramionami. Westchnął.

– Czuję, że będę tego żałował...

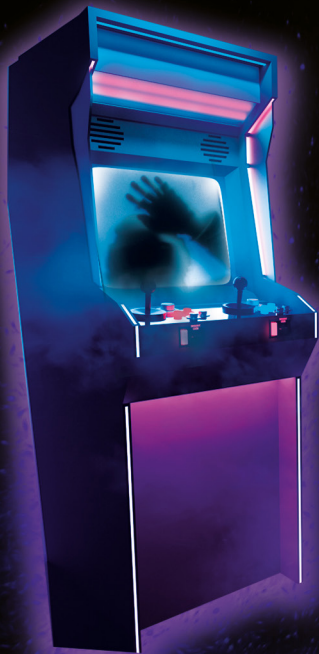
CO DALEJ?

ZAMÓW NA

[WWW.PLATINUMSTORY.COM/SALON-GIER](http://WWW.PLATINUMSTORY.COM/SALON-GIER)



PLATINUM  
STORY



Początek lat 90-tych.  
Ekipa nastolatków odkrywa  
nawiedzony salon gier,  
gdzie tajemnicza postać...  
wciąga ich do automatu!

Teraz, rzućni z gry do gry,  
muszą walczyć o przetrwanie  
i jakoś się wydostać.  
Czy im się uda?

Daj się porwać młodzieżowemu  
urban fantasy w stylu isekai.  
Świat gier video i klimatu retro  
czeka na ciebie!

ISBN 978-83-67143-03-5



9 788367 143035



PLATINUM  
STORY

Zapraszamy na  
[www.platinumstory.com](http://www.platinumstory.com)